

Albert Boissiere.

# Człowiek bez twarzy.

16

(Ciąg dalszy).

— Któż ci zabiera twą wolność, Łucyo? — zapytałem spokojnie...

— William!... William pod pretekstem, żeśmy się dawniej kochali, chce zacząć na nowo głupstwa!... Ach! nie! tysiąc razy nie!... Wolę żyć bez grosza z Dzimem, z którym miałam już dziecko, niż być bogatą z synem tego narwańca Joego, który wiadomo dokąd mnie doprowadził swymi pięknymi obietnicami! Dosyć już miałam i ojca i syna i nie już nie chcę o nich słyszeć!

Dzim potwierdził to uderzeniem swego wielkiego kulaka w biurko i dodał:

— Panie William nie będzie miał Łucyi, która kocna Dżima... albo Dzim będzie miał skórę panie William... Ja boksowałem panie w trybunale. Będę boksował panie wszędzie, dokąd zechce zawieść Łucyę, która nie chce z nim iść!... Powiedz, Łucyo! Powtórz master Brentano, że William ci się nie podobą i że kochasz Dżima!

— Zbyteczne! — przerwałem.

A zwracając się do Łucyi, zawołałem:

— Gotowa pani rzec się dobrowolnie testamentu Joego?

— Ach! ma się rozumieć!... Zrzekam się wszystkiego, tylko chcę być swobodną!

— Przrzeka mi pani, że opuści Nowy Jork wieczorem, jeżeli wyznaczę odpowiednie środki do życia razem z Dzimem, tym dzielnym Dzimem, najwytrwalszym z kochanków?

— Zobowiązuję się do tego!

— Dobrze!... Proszę iść razem z mym sekretarzem, panem Johnem Fellowem do adwokata Tecka, który da pani do podpisania odpowiedni akt!

Dałem znak Fellowowi.

— Wyprawi pan tych dwoje oryginałów pociągami, którym zechcą jechać, w kierunku, jaki im się spodoba i wręczy im pan w chwili odjazdu dziesięć tysięcy dolarów z mej kasy!

...William, który siedział w mym fotelu, nie zrobił ani jednego ruchu, nie rzekł ani jednego słowa na znak protestu...

Uścześnieśliwiony Dzim zaczął tańczyć z rad.ści jakiegoś szalonego cake-walka... Łucya Weill zadowolona z przyszłości, jaka się przed nią otwierała, podziękowała mi słowami, które mimo swej formy, wyrażały dobrze głęboką jej wdzięczność:

— Ty przynajmniej, mój staruszek, okazałeś się do końca prawdziwym gentlemanem!

Poprawiła swój pognieciony trochę w poprzedniej walce ogromny kapelusz i wyszła razem z negrem, nie zwracając się ani jednym słowem pożegnania do osłupiałego Williama.

Miedzy mną a Williamem zaległo teraz ciężkie, duszące milczenie. Po kilku chwilach, William podniósł swą głowę, pokaleczoną w nierównej walce ze zdchycwą Łucyi Weill i z napuchniętych warg jego padły te słowa:

— Toś ty, Jonatanie, urządził to wszystko!

— Ja?... Czyś ty zwaryował?

Roześmiał się w jakiś przejmujący sposób i rzekł:

— Tak! zwaryowałem!...

Był już widocznie wyczerpany z sił, gdyż padł bez czucia na fotel, na którym ja poprzednio leżałem w omdleniu.

## XXI.

Wyrok nad Polidorem został wykonany w dwaście dni po jego wydaniu przez sąd. Jak mi opowiadał obrońca, obecny przy traceniu, Polidor z zupełnym spokojem siadł w fotelu, z którego nigdy już nie miał powstać... Nie okazując najmniejszego przestachu, pozwolił włożyć sobie na głowę kask, przez który przechodził prąd, dostateczny do zabicia dziesięciu wołów. Lecz czy to z powodu niedoświadczenia kata, czy też z jakiegoś kaprysu elektryczności, co się już nieraz zdarzało przy egzekucjach, Polidor oddał duszę dopiero po siedemnastu minutach strasznych cierpień.

Nie chcę tutaj wzbudzać litości zwolenników kary śmierci, którzy pod tym względem są zasadniczo nielitościwi... W tym jednak wypadku za nadto jestem osobiście dotknięty, bym mógł rozważać, czy społeczeństwo wywiera swą zemstę, czy też zadaje tylko karę, wypływając logicznie z jego prawa do samoobrony!... Byłbym tu zbyt stronniczy!... Niech mi wolno jednak będzie nie wierzyć, wbrew

głupim twierdzeniom lekarzy ekspertów, ludzi tak omylnych jak przestępcy i sędziowie, jak zresztą wszyscy inni, w odpowiedzialność chłopca, który zabija swą matkę dla pięciu luidorów i zaledwie zostaje zabezpieczony przed karą, dopuszcza się nawnie nowej zbrodni!

...Noc poprzedzającą dzień, w którym Polidor spłacił swój dług społeczeństwu, spędziłem bezsenność, pracując przy biurku... w ten tylko sposób mogłem przeżyć tę straszną chwilę śmierci swego syna... Sekretarz mój, John Fellow, zjawił się u mnie wczesnym rankiem. Nie mógł on ukryć swego przerażenia na mój widok... Rzekł mi też:

— Tej jednej nocy postarzał się pan, master Brentano, o dziesięć lat! Niech pan spojrzy do lustra... Włosy pańskie stały się zupełnie siwe na skroniach... i ten kosmyk nad czołem!...

Współczucie Johna Fellowa zirytowało mnie.

— Siadajmy do pracy! — rzekłem. — Musimy przygotować wszystkie papiery, a mamy tylko dwa dni przed sobą... Dokumenty muszą być w takim porządku, bym mógł dać Williamowi jasny i dokładny pogląd na stan jego majątku...

Prawdziwą rozrywką i ulgą w mych cierpieniach była ta ciągnąca się od dwóch tygodni praca nad zestawieniem majątku trustu papierowego i nad obliczeniem wielkich kapitałów, złożonych w najrozmaitszych bankach i przedsiębiorstwach, by wyliczyć, jaka suma przypadnie w udziale Williamowi. Spadkobierca tak ogromnego majątku zdawał się wcale tem nie interesować. Widocznem było, iż wyjazd Łucyi z negrem, był dla niego daleko straszniejszym ciosem, niż zabójstwo Joego przez Tedda... Widywałem go codziennie w Waldorfie i za każdym razem przekonywałem się, że obecność moja sprawia mu przykrość... Przez jakąś jednak niewytłomaczoną sprzeczność, zdawał się pragnąć tej przykrości i nawet, jeżeli można tak powiedzieć, cieszyć się nią... Gdy o zwykłej porze nie zjawiałem się w Waldorfie, przychodził odwiedzać mnie do pałacu przy 34 avenue.

W rozmowach swych nie wspominaliśmy ani jednym słowem o Łucyi lub Teddym... Staraliśmy się, każdy ze swej strony, nie przypominać niepotrzebnie własnych bólów... Umówiliśmy się, że natychmiast po zlikwidowaniu interesów spadkowych wrócimy do Francji... Nie śpieszył się jednak z powrotem... Dla cierpień swych nie znajdował nawet ulgi w gorączce pracy, która mi osładzała nie jedną chwilę tęsknoty i samotności... Po większej części bywał milczącym i ponurym; nie robił wrażenia, iż w swej pustej głowie układa jakieś wielkie projekty, jasnem jednak było dla uważnego obserwatora, iż jakaś uparta myśl ciągle go niepokoi... Nigdy nie słuchał zadawanego sobie pytania i zawsze odpowiadał na coś innego.

Gdy mu pewnego razu oznajmiłem, iż mam zamiar towarzyszyć mu do Francji i opuścić zarząd majątkiem, by żyć razem z nim, nie sprzeciwił się temu, lecz i nie okazał żadnej radości, której mógłbym się jednak spodziewać, gdyż było to dawniej najgorętszym jego pragnieniem. Teraz, gdy Joe nie żył, nie krepował się niczem i nazywał mnie publicznie „swym ojcem”. Słowa te wymawiane przez męża Eweliny, sprawiały mi po śmierci Polidora najżywszą radość.

Ja straciłem Polidora; on stracił Łucyę Weill... i zdawało się, że wszystko składa się na to, byśmy jeszcze bardziej zbliżyli się do siebie! Nie miałem już odwagi snuć na przyszłość wesołych projektów wspólnego rodzinnego życia, tyle natomiast posiadałem roztropności, iż nie powracałem już do przeszłości. W miarę jak sprawy spadkowe, które mi zajmowały cały czas, zbliżały się do końca, a następowała chwila odjazdu do Francji, William stawał się coraz niespokojniejszym... Coraz rzadziej przychodził do mnie, a gdy ja zjawiałem się w Waldorfie, na dziesięć razy, dziewięć razy nie było go w domu...

Wreszcie zostały zakończone wszystkie sprawy, i załatwione wszelkie trudności spadkowe... Od chwili wejścia mego do spółki Duncan-Brentano, kapitał zakładowy zwiększył się o pięćdziesiąt milionów! Obecnie po dokonaniu wszelkiej formalności, potrzebne były jeszcze tylko podpisy stron zainteresowanych, to jest mój i Williama... Po zebraniu się w pałacu przy 34 avenue wszystkich dyrektorów naszych zakładów, oczekiwaliśmy tylko przybycia syna króla papierowego, by dał swój podpis, gdy nagle zamiast Williama Duncana zjawił się niespodzianie adwokat, pan Teck.

— A gdzie William? — zapytałem.

— Master William Duncan nie przyjdzie! — odpowiedział mi pan Teck.

— Jest słaby... chory może?

— Nie... Wsiadł tylko na okręt o trzy kwa-

dranse na dwunastą i pojechał do Francji, dokąd wzywają go obowiązki!

— Pan chyba żartuje, panie mecenasie... Zamówiliśmy przecież na jutro kajuty!

— Tak, zmienił jednak swe zdanie! — rzekł flegmatycznie adwokat. — Zresztą, jest to rzecz podrzędna!... Jestem, proszę panów, mandataryuszem pana Williama Duncana... Oto jest me pełnomocnictwo, zupełnie w porządku... proszę się przekonać... Zdaje mi się, że niema powodu odwlekać samej sprawy!...

Zebrani zgodzili się w milczeniu i formalności zostały dokonane bez żadnych przeszkód z obu stron...

Chciałem jak najprędzej pozostać sam na sam z panem Teckem, tym niespodziewanym pełnomocnikiem Williama, domyślałem się bowiem, że jego mandat nie ogranicza się tylko do podpisania niezliczonych papierów, jakie zebraliśmy... Pan Teck miał z pewnością jeszcze i coś innego do powiedzenia... Widać to było po jego zakłopotanej twarzy, po pośpiechu, z jakim zagnał obecnych. Wyraz jego twarzy zmienił się też natychmiast po wyjściu ostatniego gościa.

Master Brentano — rzekł mi, powstając — czy sekretarze pańscy już wyszli?... Niema poblizu niczego ciekawego?

— Może się pan nie lękać!... Nikt nas nie może słyszeć!... Lecz co pan ma do oznajmienia mi tak ważnego?

Siadł z powrotem, założył nogę na nogę, podciągnął uważnie spodnie i zaczął poważnym głosem:

— Powierzono mi bardzo delikatną misję. Byłem pańskim obrońcą w sprawie Duncana i pan wie, jakie szczególne poważanie mam dla pana!... Nie jest to jednak moją winą, jeżeli obecnie zostałem doradcą prawnym Williama Duncana!...

— A czyż przez to pańskie poważanie dla mnie zmniejszyło się? — odparłem z uśmiechem.

— Ależ cóż znowu!... Przeciwnie, chciałbym, by to poważanie zjednało mi pańskie względy... Chciałbym, by pan mógł spokojnie wysłuchać mych rad i zastosować się do nich dla własnego dobra, dla dobrze zrozumianego interesu.

— Proszę, niech pan mówi, a potem zobaczymy, jak trzeba będzie postąpić!

— Oto — rzekł — proszę bardzo pana, master Brentano, by nie opuszczał pan gościnnej ziemi wolnej Ameryki!

— I z jakiej-że to racji, jeżeli można zapytać?

— Nie znam dokładnie względów, kierujących Williamem, którego jestem i zamierzam pozostać ślepym mandataryuszem.

— Czy to William zamyśla mnie skłonić do niejechania do Francji? — zawołałem zdumiony.

— Tak, to William zabrania tego panu!... „Zabrania!”, jest to słowo nie moje, lecz wyraźnie użyte przez niego.

— Rozumiem to — rzekłem — czego pan nie jest w stanie nawet podejrzewać. Lecz czy William przy tych nierozsądnych i nieodpowiednich słowach podał panu jakie motywy podobnie szalonego rozkazu?

— Właściwie mówiąc, nie! Pozwolił mi jednak domyślać się, iż pan bardzo pożałuje, jeżeli ośmieli się przestąpić jego zakaz... Natomiast wynagradza on pana za to w tak zdumiewający sposób, iż dla własnego dobra winien pan być mu posłusznym... Niech pan wybaczy mi to wszystko, co to słowo „posłuszny” ma w sobie nieodpowiedniego... William Duncan pozostawia panu najzupełniejsze korzystanie z trustu papierowego. ...Chce, by pozostał pan niezależnym kierownikiem nie tylko swego majątku, lecz i jego!... Pan mnie rozumie... jego majątku!... Przyzna pan, że jest to coś niezwykłego... — Co nie odpowiada wcale jego dziwnym rozkazom!

— Nie mówię, że nie!... Niech pan jednak zwróci uwagę na to, iż klient mój oddaje panu, że tak powiem, używalność swego majątku!... Jest to nieproporcjonalne wynagrodzenie za przymus i zobowiązanie się nie jeżdżenia do Paryża!... Proszę pomyśleć, że William zadawała się obecnie czekiem tylko na dwadzieścia milionów franków... na swe pierwsze potrzeby... Gardzi on najzupełniej majątkiem, co ja uważam za prawdziwą aberrację umysłową!... Taką jest, master Brentano, moja misja... Czy zamierza pan usłuchać moich rad, rzec się nużące podróży i pozostać jedynym kierownikiem tak potężnej fortuny?

— Postąpiłbym może według pańskich rad, gdyby mi pan przedstawił ze strony swego ekscentrycznego klienta choć jeden powód, dla którego winienem się poddać takiemu żądaniu! — odparłem z uśmiechem.

— Owszem, mam jeden! — rzekł adwokat! O